

Tytuł oryginału
The Fifth Sacred Thing

Copyright © 1993 by Miriam Simos
Published by arrangement with Bantam Books,
a division of Bantam Doubleday Dell Publishing Group, Inc.
All rights reserved

Copyright © 2001 for the Polish translation by
Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c., Poznań



221-3
AMER

Wypożyczalnia

Nr. 43
Nr. inw. 45637

Wydanie I

ISBN 83-7150-917-0

Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c.
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. (0-61) 853 27 51, 853 27 67, fax 852 63 26
Dział handlowy, ul. Zgoda 54, 60-122 Poznań
tel. (0-61) 864 14 03, 864 14 04
e-mail: sklep@zysk.com.pl
nasza strona: www.zysk.com.pl
DRUKARNIA GS: Kraków, tel. (012) 65 65 902

Deklaracja Czterech Świętych Żywiołów

Ziemia jest czującą, świadomą istotą. Wierzimy, podobnie jak ludzie, którzy żyli w wielu różnych miejscach i w różnych epokach, że powietrze, ogień, woda i ziemia to Cztery Święte Żywioły.

Bez względu na to, czy nazwiemy je oddechem, energią, krwią i ciałem Matki, czy błogosławionym darem Stwórcy, czy symbolami sił przyrody, które umożliwiają życie, pozostaną na zawsze elementami, bez których nic nie przetrwa.

Nazywając te rzeczy świętymi, przyznajemy, że są czymś więcej niż tylko środkiem do zaspokajania ludzkich potrzeb. Są kryteriami, którymi kierujemy się w naszych działaniach, naszej pracy, przy ustalaniu praw i celów. Nikt nie ma prawa ich przywłaszczyć ani czerpać z nich zysku kosztem innych. Każda władza, która przestaje je chronić, traci swoje prawa.

Wszyscy ludzie, wszystkie żywe istoty są częścią życia na Ziemi, a to znaczy, że są bezcenne. Nikt z nas nie stoi powyżej lub poniżej innych istot. Tylko sprawiedliwość może zapewnić równowagę, tylko równowaga w przyrodzie może zapewnić wolność. Tylko w atmosferze wolności Piąty Święty Żywioł, który nazywamy duchem, może w pełni rozwinąć swój potencjał.

Wierność świętym żywiołom naszej planety oznacza stworzenie warunków, w których dostatek, godna egzystencja, zdrowe środowisko naturalne, a także wiedza, wolność i piękno mogą istnieć rozwijać się i pomnażać ku wspólnemu dobru. Wierność Świętym Żywiołom oznacza stworzenie warunków do miłości.

Tej deklaracji poświęcamy naszą wnikliwość, wolę i odwagę, nasze milczenie i nasze słowa. Jej ofiarujemy nasze życie.

że dożyła tylu lat w bardzo ciężkich czasach, i na dodatek nie straciła poczucia humoru.

— Na co tak patrzysz? — spytała Maya.

— Na ciebie, *abuelita*. Świetnie wyglądasz.

— No, no. Czyżbyś chciała mnie zjeść? Lepiej uważaj, po pierwsze, nie jestem małą, a po drugie, nie jestem twoją babcią.

— To jest wyraz na oznaczenie sympatii, a nie wymiarów, jak zresztą dobrze wiesz. A co do więzów krwi między nami, to nikt nigdy nie pisał mi na ten temat ani słowa.

— Chcesz znać to słowo? Córka dziecka, które miał mój kochanek z moją kochanką, kiedy odwróciłam plecy — powiedziała niewinnie Maya. — Czy jest na to jakieś hiszpańskie określenie?

— Może *madrina*. Zawiera w sobie wszystkie grzechy. Czy naprawdę dobrze się czujesz?

— Lepiej niż ty. Zaraz, zaraz. Czy ty w ogóle spałaś?

— Nie pytaj.

Głos Mai złagodniał. — Jak poszło?

— Straciliśmy Consuełę.

— Nie!

— Nie mogę teraz o tym mówić. — W oczach Madrone pojawiły się łzy.

Maya położyła rękę na jej ramieniu, a ona przycisnęła do niej policzek, szukając ukojenia. Powietrze przeszył dźwięk konchy.

— Mamy pół godziny do rozpoczęcia uroczystości — powiedziała Maya. — Gdzie chciałabyś teraz pójść?

Szczyt wzgórza pokryty był ołtarzami na cześć Bogów i Bogini, przodków i duchów. Niektóre były bogato malowane i rzeźbione, inne proste jak koszyk z darami pod drzewem. Tworzyły eklektyczną mieszankę stylów i tradycji. Zielone wzniesienie, otoczone kamiennymi płytami usypano na cześć Bogini Ziemi, nazywanej też Gają lub Tonantzini albo po prostu *Madre Tierra*, Matka Ziemia. Swój ołtarz miał Kuan Yin, Kali, Budda oraz liczni bodhisattwowie. Nie zapomniano o dewach, afrykańskich oriszach i celtyckich Bogach. Niektóre stały obok siebie: Oszun z Joruby, Bogini Miłości oraz Bogini Rzeki obok Afrodyty i Innany/Isztar/Astarte, a wszystkie zwrócone były frontem do małej sceny, na której tańczyła bosa kobieta z odkrytym brzuchem.

W wyższej partii wzgórza Dziewica z Gwadelupy spoglądała na stację Drogi Krzyżowej. Ponad nią urządzono specjalne miejsce kultu, w którym odbywały się religijne ceremonie. Tam świętowano Przesilenie Zimowe oraz witano żydowski Nowy Rok, zapalając świece szofara. W wielkanocne poranki śpiewano pieśni gospel, pięć razy dziennie odmawiano modlitwy i na okrągło medytowano, licząc w ciszy oddechy.

— Na kopiec pamięci — odpowiedziała Madrone. — Mam kamień dla Sandy'ego.

W koszyku, który ze sobą przyniosła, leżał kamień z wrytą datą urodzin, śmierci i imieniem Sandy'ego. Sandino Shen Lotus z rodu Czarny Smok. Urodzony 15 września 2019. Zmarł dwudziestego trzeciego dnia Miesiąca Mgieł roku 20 (23 czerwca 2048). Chciała położyć go na kopcu pamięci, który znajdował się na samym szczycie wzgórza i ostatnio rósł w zastraszającym tempie. To było wszystko, co zostało po nim, jej przyjacielu, kochanku, kompanie, *compañero*: kamyk na kupce innych kamieni, garść prochów rozspanych w ogrodzie, wspomnienia. Pomyślała, że jest taki ból, którego nie ulecą żadne rytuały.

Maya delikatnie dotknęła jej ręki. — Chcesz, żebym poszła z tobą — spytała — czy wolisz zanieść go sama?

— Chodź ze mną.

Staruszka wzięła ją za rękę — To idziemy.

Wokół kopca zgromadzili się już ludzie. Jedni dokładali nowych kamieni, drudzy owoce i kwiaty, a jeszcze inni szlochali w objęciach przyjaciół.

Madrone wyciągnęła swój kamień i przez chwilę ważyła go w ręce. Próbowała myśleć o Sandym, ale uparcie przychodził jej na myśl Bird*. Urodził się w dzień Zbieraczki. Dzisiaj były jego urodziny. Był zodiakalnym Lwem, chociaż pięć planet charakterystycznych dla jego znaku znalazło się w Układzie Słonecznym jej znaku, Skorpiona. Seks i śmierć. Ile miałby teraz lat? Ona miała dwadzieścia osiem, Bird zacząłby dwadzieścia dziewięć. O Bogini, dziesięć lat temu byli tacy młodzi! Pamięta jego twarz w noc, kiedy odjeżdżał, jego gładką, ciemną skórę, zarost, który dopiero się pojawiał.

* Bird (ang.) — ptak.

Jechali cała grupa, on, Cleis, Zorah i Tom. Spytał ją, czy pożegna od niego Mayę.

— Jedziesz prosto na śmierć — powiedziała.

Spojrzał na nią ostro — *Claro*. — Jednak po chwili jego twarz złagodniała — Hm, być może.

Chciała krzyczeć, że jest głupcem, że nie może jej zostawić, ale jego oczy przeraziły ją. Były takie same, jak w noc Powstania, kiedy stał nad zakrwawionym ciałem swojego ojca. Ludzie wokół krzyčeli, policja biła na oślep. Byli wtedy tylko dziećmi, a sytuacja przerażała ich siły.

Oczy Madrone zaszkliły się. Jestem nie w porządku wobec Sandy'ego, pomyślała. Wcale o nim nie myślę. Uciekam od świeżego bólu, drażąc stare rany. Łatwiej opłakiwać Birda po tych wszystkich latach, niż stanąć twarzą w twarz ze śmiercią Sandy'ego. Albo Consueli. Albo innych, którzy odeszli.

— Przykro mi z powodu Sandy'ego — powiedziała Maya.

— To dziwne, ale wcale o nim nie myślę. Wciąż staję mi przed oczyma Bird — przyznała się Madrone. — Dzisiaj są jego urodziny, pamiętasz?

— Jasne, że pamiętam — odpowiedziała Maya. — Pamiętam nawet jego poród. Brigid nie miała z tym większych problemów, zresztą tak jak z innymi sprawami w swoim życiu. Do dziś nie mogę uwierzyć, że to była moja córka. Cztery godziny bólów, ledwie się zaczęło, już się skończyło. Nawet nie spóźniłam się tego wieczoru na święto.

— Czy rodziła w domu?

— Tak, moja przyjaciółka Alix była położną. Poza tym byłam tam ja, Marley, który właśnie skończył dwa lata, i ojciec Birda — Jamie. Brigid uważała, że jeżeli Marley będzie przy porodzie, to między nim a noworodkiem powstanie więź. Prawdę powiedziawszy, interesował go bardziej bęben, na którym grałam, niż nowo narodzony brat.

— Marleya zawsze bardziej pociągały bębny niż ludzie — powiedziała Madrone.

— Ale za to jakim był perkusistą! — odparła Maya. — Czy wiedziałaś, że potrafił sprowadzić deszcz!? Miałam takich utalentowanych wnuków. Bird potrafił wykrzesać cuda z każdego instrumentu. Nie myśl, że się chwalę. Tak po prostu było.

— Uwielbiałam jego głos — powiedziała Madrone. — Uwielbiałam słuchać, jak śpiewa — Uwielbiałam go, pomyślała Madrone. Pokochałam go od pierwszego dnia mojego pobytu w San Francisco, choć nadal byłam w szoku po opuszczeniu Gwadelupy, wciąż opłakiwałam matkę, a obcy ludzie, babcia Johanna, dziadek Rio, ciocia Maya przerażali mnie. Bird dał mi swój ulubiony czarny, płaski kamyk, na którym z jednej strony odbiła się skorupa jeżowca.

— I tacy przystojni — ciągnęła Maya. — Obydwaj mieli moje oczy i gładką mlecznoczekoladową skórę. Pamiętasz czekoladę?

— Tak, czasami jedliśmy ją w Gwadelupie — powiedziała Madrone.

— To żadna przyjemność żyć dłużej niż własne dzieci. — Głos Mai zmienił się. — Nic zabawnego. Czekam tylko, aż wróci Bird.

— W takim razie będziesz musiała poczekać całą wieczność, *madrina*.

— Nie. — Maya pokręciła głową. — On żyje. Czuję to. Chwileczkę, ale przyszliśmy tutaj dla Sandy'ego. Pomódl się za niego i połóż kamień.

Kopiec zdołały wyblakłe nagietki i zwiędłe chryzantemy. W mieście nie było cmentarza ani terenu, który można było przeznaczyć na pochówki, więc ludzie przynosili tutaj dary dla zmarłych. Kamień Sandy'ego będzie dzielił miejsce z innymi, tak jak za życia ludzie dzielą się chlebem, pomyślała Madrone. Przynajmniej nie będzie sam.

— To, o czym się pamięta, nigdy nie umiera — powiedziała, kładąc kamień po północnej stronie kopca. — *Jiyi shi yongyuan bu mie de* — powtórzyła zwrot, którego Sandy uparcie ją uczył. Pochodził z północnej części miasta, w której obok angielskiego używano języka mandaryńskiego, w przeciwieństwie do dzielnic południowych, gdzie drugim językiem był hiszpański.

— Był dobrym człowiekiem — rzekła Maya. — Taki miły dla każdego i taki wrażliwy. Kiedy odszedł, poczułam pustkę. — Naprawdę będzie jej go brakować, tak jak brakuje tych wszystkich, którzy odeszli, ale ucisk w gardle, który czuła, spowodowany był troską o Madrone. Była zbyt młoda, żeby znieść śmierć tylu bliskich.

Madrone bez słów pokiwała głową. Nagle Maya poczuła, jak bije pod nią serce Ziemi. A może to pulsują moje stopy, pomyślała. W każdym razie czuła się wspaniale, mogąc doświadczyć w miejscu poświęconym zmarłym tego, o czym mówiła przez te długie lata. Odczuć na własnej skórze, że wszystko żyje, i mieć świadomość, że wszystko podlega cyklowi narodzin, rozwoju, śmierci i odnowy. Mai wydało się, że nazywanie Tego Boginią, o co zresztą uparcie walczyła, było nie tyle metaforą, ile samym sednem, esencją kryjącą się w centrum wszystkich rzeczy.

Madrone odwróciła się nagle. Chciała pozostać sama.

— Idę złożyć dary Yemai — powiedziała. Morska Bogini z Joruby była jej ulubioną oriszą, jedną z pradawnych Bogów i Bogini, którzy przybyli na niewolniczych statkach z Afryki.

— Daj mi słoik miodu — poprosiła Maya. — Pójdę podrażnić moich przodków.

— A ja myślałam, że chcesz ich odwiedzić. — Madrone wyjęła z koszyka mały słoik miodu.

— Żydowscy przodkowie nie przyjmują gości, oni robią *kwecz*. To znaczy narzekają.

— To jest akurat jedyne słowo jidysz, które znam, *madrina*.

Maya podeszła do grupy ludzi, którzy zebrali się wokół przechylnego drzewa granatu. Stała tam jasno ozdobiona arka wykonana z nowo odkrytego materiału odpornego na wszelkie kaprysy pogody. Rzeźbiona kamienna lektyka tworzyła rodzaj podwyższenia, na którym umieszczono pergaminowe zwoje Tory. Obok niej stała młoda kobieta śpiewająca po hebrajsku. Dźwięki pieśni przeniosły Mayę do lat dzieciństwa. Usłyszała, jak dziadek śpiewa swoje poranne modlitwy, a rodzice się spierają.

— Daj mi spokój, Betty — mówił ojciec. — Powtarzam ci, że nie pójdę do synagogi! Nie wierzę w jego przeklętego Boga!

— Nie idziesz tam dla Boga, ale dla niego. On jest starym człowiekiem, Joe. Chociaż raz w życiu mógłbyś sprawić komuś przyjemność.

— Dlaczego miałbym to robić? Czy on zrobiłby dla mnie to samo? Czy odśpiewałby *Manifest komunistyczny*, żeby sprawić mi przyjemność?

— To twój ojciec.

— I co z tego!

Maya przeszła za drzewo granatu, żeby spokojnie postawić słoik z miodem i nie przeszkadzać innym w modlitwach. Drzewo było oplecione miedzianą wstęgą, na której wryto po angielsku i hebrajsku: *Ona jest drzewem życia dla tych, którzy się jej trzymają*.

— Zatwardziała heretyczka w takim miejscu? — usłyszała za plecami zrzedliwy głos. Odwróciła się i zobaczyła doktora Sama, kolegę Madrone ze szpitala. Z białą czupryną i sterczącymi brwiami był podobny do jej ojca w późnym wieku, który teraz sama przekroczyła o trzy dekady. Nie jest przystojny, ale coś w sobie ma, pomyślała, uśmiechając się do niego promiennie.

— Składałam hołd swoim przodkom — powiedziała.

— I co, są pod wrażeniem?

— Kto wie? Jeżeli chciałabym obłaskawić ducha mojego ojca, to musiałabym zapalić kilka kadzidełek przed portretem Karola Marksa.

— Ty naprawdę jesteś heretyczką.

— A ty? Przecież twierdzisz, że jesteś ostatnim żyjącym ateistą.

— Nie, ja jestem człowiekiem otwartym na argumenty. Na przykład, czy zniszczenie środowiska jest katastrofą analogiczną do zniszczenia wieży Babel? Które drzewo życia uznać za święte, drzewo Tory, Aszerah czy Bogini Ziemi?

— I jaka jest odpowiedź?

— Nie chodzi tu o odpowiedź. Wy, w których żyłach płynie mieszana krew różnych ras, powinniście to wiedzieć. Jeżeli znajdziemy odpowiedź, stracimy przyjemność dyskusowania.

Coś pomiędzy nimi skrzy, pomyślała Maya. Czy możliwa jest zamiana ojca na męczyznę młodszego o dwadzieścia lat? Tymczasem zakończyła się modlitwa i Torę umieszczono z powrotem w arce. Rozległ się dźwięk konchy

— Już czas — powiedział Sam, wyciągając rękę. — Pozwolisz?

Oltarz Yemai znajdował się na zachodnim stoku, od strony oceanu, którego wody zasłonięte były przez szczyty Twin Peaks. Madrone zatrzymała się na chwilę pod statuą brzemiennej syreny, Wielkiej

Matki, Bogini Morza. Tutaj położyła ostatni dar z koszyka — doskonałą skorupę jeżowca, która przypominała jej kamik podarowany przez Birda. Skamielin tego morskiego stworzenia można było znaleźć sporo na plaży, ale jego prawdziwe skorupy były rzadkością. Był to cenny dar. Z trudem się z nim rozstawała, traciła tym samym ostatnią nić łączącą ją ze wspomnieniem Birda, ich wspólnych spacerów na tamach, kiedy obserwowali grające na falach światła, ze wspomnieniem jego piosenek i dłoni gładzących jej rozwiane wiatrem włosy.

W powietrzu rozległ się ostatni sygnał konchy. Nadszedł czas, żeby rozstać się z duchami i pożegnać Yemayę.

— Pierwsza matko, Pani wszelkiego życia, nasz wspólny przodek, przyjmij ten dar — mówiła do Yemai. — Zachowaj żywych przy życiu i dodaj mi sił. Ach, *Iya*, Mamo! Jest mi strasznie smutno. Straciłam swoich kochanków i *compañeros*, starych i nowych. Jestem samotna. Zmień obrót moich spraw.

Słońce grzało Madrone w kark, gdy wspinała się pośpiesznie na wzgórze. Na wschodzie, ponad spalonymi słońcem dolinami unosiły się fale rozgrzanego, migoczącego powietrza, a chmury kurzu tańczyły jak szalone. Na zachodzie pierścienie niebieskiej mgły otaczały zbocza Twin Peaks.

Na szczycie wzgórza wykopano wielki okrągły amfiteatr. Wszyscy widzowie siedzieli wokoło na stokach. Madrone dostrzegła Mayę na samym dole, w pierścieniu najbliższej środka, gdzie zgromadzili się uczestnicy ceremonii. Sam stał obok niej. Na jego widok Madrone lekko westchnęła. Będzie chciał wiedzieć, jak przebiegał poród, a ona nie miała ochoty o tym mówić. Przyniesione jedzenie położyła w miejscu, w którym miała się odbyć biesiada, po czym udała się w kierunku Mai i Sama. Przywitała się z nimi, podczas gdy czterej *concheros* wystąpili dumnie na środek. Niesamowitym, przenikającym dźwiękiem muszli pozdrowili cztery kierunki świata oraz ziemię, niebo i przestrzeń.

Rozległa się muzyka. Ludzie zaczęli śpiewać. Rytualny ogień został rozpalony przez cztery zamaskowane figury: ptaka, rybę, kojota i sarnę, symbolizujące cztery kierunki świata i Cztery Święte Żywioty.

Potem przyszedł czas na tańce, pieśni i recytacje ku czci Czterech Świętych Żywiotów oraz do przodków, Bogów, Bogiń wszelkich wyznań i religii. Madrone bardzo lubiła obserwować tancerzy, szczególnie trupy Miwok i Ohlone, których członkowie nosili majestatyczne, obszyte piórami płaszcze. W końcu nadszedł czas na recytacje. Występowali kolejni mówcy, a kiedy kobieta z Rady Nauczycieli przedłużała w nieskończoność odę do miejscowych duchów, Madrone poczuła, że głowa jej opada, a oczy same się zamykają.

— Miało być najwyżej pięć minut na wystąpienie — wyszeptała Maya do Sama. — Jeśli się nie pośpieszą, to odpadnie mi tyłek.

W końcu ostatni mówca skończył. Skinął na Mayę, która wystąpiła naprzód. Bardzo przejęta młoda dziewczyna podała jej Kij Mówcy, pięknie rzeźbione, ozdobione piórami i koralikami urządzenie z ukrytym na szczycie mikrofonem. Głośniki o wielkiej mocy wisiały w koronach czterech świętych drzew rosnących wokół amfiteatru. Na podeście czekał mężczyzna, który miał przekładać jej słowa na język znaków. Wszystko było gotowe.

Odczekała chwilę, spoglądając swobodnie na odświętne, kolorowe stroje i twarze ludzi różnych ras i narodowości, którzy siedzieli z dumnie podniesionymi głowami. Wspaniale, pomyślała Maya, na to pracowałam całe życie. Ty też, Johanno, i ty, Rio. Ale ilu jeszcze, takich jak Consuela i Sandy, musimy stracić? Takich jak Brigid i Marley, i Jamie, i być może Bird? Cóż warto były nasze starania, jeżeli nie zdołamy tego ochronić i zachować?

Bębny zaczęły bić synkopowany, transowy rytm, który miał poprowadzić umysł i przenieść go na inny poziom świadomości. Maya zaczęła mówić. Jej głos był rytmiczny jak muzyka, jak wypowiedane zaklęcie.

— *Éste es El Tiempo de la Segadora*, nadeszła pora Zbieraczki, tej, która jest wpisana w każdy początek. Pora sierpu ścinającego pszenicę, pora Szamanki i Bogini Zbiorów. Jest to pora, w czasie której obchodzimy pradawne święto Lughy, celtyckiego boga słońca, który zacznie się niedługo budzić, aby nam łaskawie panować, i odejdzie z początkiem jesieni. Jest to czas słodkiej kukurydzy, dojrzałych pomidorów i fasoli twardniejącej w strąkach. Zaczynają się żniwa. Zbieramy to, co zasialiśmy.

Madrone wyprostowała się, słuchając uważnie. Zawsze lubiła patrzeć, jak Maya wpływa na tłumy.

— Szamanka, Zbieraczka nie jest boginią, która daje się łatwo kochać. Nie jest karmiącą Matką. Nie jest dziewczyną, nie jest lekka ani wolna. Nie jest też piękna ani jasna jak luna w czasie pełni. Jest ciemnym księżycem. Przychodzi niespodziewanie. Nie ma przed nią ucieczki. Jest wiatrem, który przenosi iskrę ognia poza ognisko. Niektórzy nazywają ją przypadkiem, a inni, co mnie przeraża: splotem przypadków, które ściągamy na siebie przez złe decyzje i niewłaściwe postępowanie. Roślinność zniszczona przez lata suszy, ocieplenie klimatu ziemi, przeniesienie deszczów daleko na północ i ich brak na południu, dziura w powłoce ozonowej — to wszystko nie jest karą. Nie jest to nawet sprawiedliwość. Są to po prostu konsekwencje.

W tłumie zapadła głęboka cisza. Maya mówiła dalej:

— Wraz z tą boginią przychodzi pora nadziei i niebezpieczeństw — pora ognia. Wiemy, że deszcze są daleko, i z niepokojem patrzymy na wyschnięte wzgórza. Czy wytrzymamy? Ci z nas, którzy są w podeszłym wieku, widzieli kiedyś ogień niszczący nasze spragnione wody miasta i dym przesłaniający słońce. Widzieliśmy, jak urodzajne tereny zmieniają się w wyschnięte pustynie, a ziemia umiera z pragnienia. Widzieliśmy, jak choroby zabierają nasze dzieci, kochanków i ludzi mieszkających w sąsiednich domach. Wiemy, że może się to zdarzyć znowu.

— Mamy nadzieję na bogate plony, modlimy się o deszcz. Wiemy jednak, że to nic pewnego. Wierzimy, że zbiory będą obfite, jeżeli będziemy się nimi dzielić, że deszcze spadną tylko wtedy, gdy woda będzie traktowana z szacunkiem, gdy będzie chroniona i wszystkim bez wyjątku dostępna. Uważamy, że możemy przetrwać, jeśli będziemy sobie pomagać i dbać o siebie nawzajem. Nadszedł czas Zbieraczki. Dziedziczymy pracę człowieka z pięciu tysięcy lat, owoce naszego gwałtu na ziemi i ludziach. Wyciągnęliśmy z tego nauczkę. W końcu zrozumieliśmy, że jesteśmy częścią ziemi, częścią powietrza, ognia i wody, i siebie nawzajem.

Umilkła. Po chwili ton jej głosu opadł, stał się lekki, poufały.

— Mieliśmy dwie wspaniałe dekady, żeby przebudować nasz zakątek świata i rozpocząć życie zgodne z tym, w co wierzymy.

Dzisiaj mamy dwudziestą rocznicę Powstania. Poproszono mnie, bym opowiedziała historię o *Las Cuatro Viejas*, Czterech Starszych Kobietach, które rozpały bunt w 2028 roku, gdy Stewardzi odwołali wybory i ogłosili stan wojenny. Oto, jak się to wszystko zaczęło.

— Na ulicy Shotwell, u podnóża wzgórza, na którym stojemy, a które w tamtych czasach nazywane było Bernal Heights, mieszkała pewna kobieta, María Elena Gómez García. Jej babka zbierała nasiona pomidorów i hodowała drzewa owocowe wysadzone z pestek brzoskwini oraz awokado. Zamiłowanie do tego zajęcia zaszczepiła także Marii. Kiedy oddziały Stewardów gromadziły się na półwyspie, żądając wydania wszystkich zapasów żywności, a my zastanawialiśmy, jak się w tej sytuacji zachować, i zbieraliśmy do tego odwagę, María zebrała swoje sąsiadki Alice Black, Lily Fong i Gretę Jeanne Margolis. Cztery dzielne kobiety, które nie miały nic do stracenia. Pierwszego sierpnia o świcie wyszły z motykami na ramionach prosto na środek ulicy zajętej przez armię Stewardów. Zatrzymały cały ruch uliczny, głównie samochody, na korzystanie z których tylko nieliczni mogli sobie pozwolić.

— Niektórzy kierowcy trąbili, inni wykrzykiwali groźby, ale kiedy María podniosła do góry motykę, zapadła głęboka cisza. Wszyscy wstrzymali oddechy. Uderzyła. Huk wstrząsnął całą ulicą. Cztery starsze kobiety zaczęły kopać.

— Uderzenie spadało za uderzeniem. W betonowym chodniku powstawały wyrwy, które wypełniały kompostem przyniesionym przez Gretę, a potem nasionami. W tym czasie zebrał się tłum. Wiadomość o tych kobietach rozniosła się po mieście. Ludzie zaczęli wychodzić z domów, żeby się do nich przyłączyć. Przynosili narzędzia lub ofiarowywali swoje nagie dłonie. Chcieli zbudować coś nowego. Wielu z nich płakało, z radości lub ze strachu. W jednej chwili spadło tyle łez, że starczyłoby na podlanie zasianych nasion.

— Ale Alice podniosła rękę i krzyknęła: „Nie płaczcie. To nie czas na płacz. Nadszedł czas, żeby weselić się i chwalić ziemię, ponieważ dzisiaj zasialiśmy ziarna naszej wolności!”

— Potem poszliśmy w ślady kobiet. Rozkopywaliśmy ulice pod kołami wycofujących się samochodów, budowaliśmy bary-

Wszystko było.
kady na głównych drogach i wyważaliśmy drzwi magazynów. Ci, którzy popierali Stewardów, uciekli na południe, zabierając ze sobą wszystko, co udało się im ukraść, nie wyłączając żywności. A my zdecydowaliśmy, że zaczniemy sadzić nasiona i że będziemy bacznie pilnować naszych źródeł wody w górach i dolinach. Dyktatorzy odeszli, myśląc, że i tak zginiemy z głodu.

— Zanim z nasion cokolwiek wyrosło, byliśmy straszliwie wyголоdzeni. Modliliśmy się i tańczyliśmy, błagając o deszcz. To była bardzo długa sucha pora. Postanowiliśmy, że najpierw nakarmimy wszystkie dzieci jedzeniem, które się uchowało, a potem podzielimy się tym, co zostanie. W taki to sposób jedzenie stało się dla nas święte, tak samo jak woda, ziemia i powietrze.

— Jeżeli coś jest uznane za święte, nie może być kupione ani sprzedane. Nie ma na to ceny i nie ma takiej rzeczy, którą warto zrobić, jeśli miałoby ucierpieć. Jeśli coś jest święte, to staje się wartością, poprzez którą wszystko oceniamy. A to nasza najwyższa wartość i hołd dla niosącego życie deszczu: nie będziemy niszczycielami, będziemy uzdrawiać! — Maya zaczerpnęła głęboki oddech i zakończyła:

— Zapamiętajcie tę historię. Zapamiętajcie, że jeden czyn może zmienić świat. Kiedy przekopujecie wilgotną ziemię, pozwalacie rozłożyć się odpadkom i wysiewacie nasiona do grządki, to tak naprawdę własnymi rękoma sadzicie ziarna wolności. Obyśmy zawsze byli syci! *¡Que nunca tengamos hambre!*

— Obyśmy zawsze mogli ugasić pragnienie! *¡Que nunca tengamos sed!* — zabrzmiała odpowiedź.

— Jeden czyn i około tysiąca godzin narad — wyszeptał Sam.

— Cynik — powiedziała Madrone. — Nie umiesz się poznać na dobrej historii.

— Historia jest wspianiała. Tylko wcale nie przypomina rzeczywistości, o ile dobrze pamiętam.

— Cicho. Teraz moja kolej.

Madrone i inne osoby reprezentujące różne rady, związki i grupy zawodowe wyszli na środek. Ta sama młoda dziewczyna przekazała im Kij Mówcy.

— Przyszliśmy tutaj, żeby zdać sprawozdanie z naszej pracy, wzywając Cztery Święte Żywioty na świadków tego, co uczyniliśmy w mieście przez dwadzieścia lat — powiedział Salal z Rady

Głównej. — Oto, jak wypełniliśmy nasze obowiązki. Oto ich rezultaty.

Kij wędrował wokoło, podczas gdy zmieniali się poszczególni mówcy. Najpierw głos zabrał przedstawiciel Związku Ogrodników, potem Rady Wody, Uzdrowicieli, Nauczycieli i innych wzajemnie powiązanych grup, które pracowały na potrzeby miasta.

— Nikomu nie brak schronienia.

— Nikt w mieście nie chodzi głodny.

— Wszystkie dzieci mają dom.

Kiedy nadeszła kolej na Madrone, zawahała się przez dłuższą chwilę.

— W mieście panuje choroba — powiedziała w końcu — ale nikomu nie brak opieki.

Kij przekazano dalej.

— Mamy tyle owoców na drzewach, że moglibyśmy spokojnie wykarmić obcych — mówiła następna osoba.

— Pilnie strzeżliśmy naszych zapasów i źródeł wody. W cysternach na pewno jej nie zabraknie, wszyscy mają co pić, a strumienie są czyste.

— Dary ziemi są dla wszystkich dostępne — zakończyli.

— Obyśmy zawsze byli syci! — odpowiedzieli ludzie — *¡Que nunca tengamos hambre! ¡Que nunca tengamos sed!*

Bębny zaczęły wybijać hipnotyczny rytm. Po chwili dołączyła do nich muzyka. Napięcie rosnęło. Nagle wszyscy w amfiteatrze zaczęli tańczyć. Ludzie poruszali się na środku sceny, na stokach i na szczytach. Na wschodzie, na tle lśniącego, zabarwionego żółcią i czerwienią nieba wznosiła się olbrzymia postać samej *La Segadora*, wysokiej na piętnaście stóp figury z głową węża i suknią z węzowej skóry oraz przytwierdzonym do pleców koszykiem, w którym niosła maczetę. Była tam też figura Lugha i jego słoneczny dysk pomalowany jaskrawą farbą, płonący teraz w promieniach słońca, jakby trawił go prawdziwy ogień. Byli też przodkowie, duchy i różne inne postaci. Maya spoglądając na nie, wiedziała, że są to tylko kawałki papieru i tkaniny, ale w migoczącym świetle wyglądali jak żywi. Muzycy grali jedną z melodii Birda. Nagle przeszył ją ból tęsknoty i wstrząsnął jej ciałem niczym niespodziewane uderzenie dzwonu. Ludzie śpiewali:

*Uwolnij swe serce,
Oddaj mu się we władanie,
Co zostało posiane, to zostanie zebrane.*

Pieśń stawała się coraz głośniejsza, aż w końcu przeszła w jeden gromki harmonijny śpiew i niespodziewanie się skończyła. Ludzie padli na kolana i dotknęli ziemi. Wokół pulsowała cisza, połykając ostatnie echa i dźwięki.

— Obyśmy zawsze byli syci! — rozległo się znowu.

Dary z owoców, ziarna i gotowanego jedzenia leżały na środku amfiteatru. Jakieś dziecko błogosławiło jedzenie i napoje, podczas gdy ludzie dziękowali przodkom, duchom i Czterem Świętym Żywiołom. Oficjalna część ceremonii skończyła się, ale świętowanie miało trwać jeszcze kilka godzin.

— Zostajesz? — zapytał Sam Madrone, podchodząc do dwóch kobiet. — Mogę odprowadzić Mayę do domu. — W jego głosie pobrzmiwała nuta nadziei.

Maya znowu poczuła iskrę między nim a sobą. Czekał na coś, na jakiś znak z jej strony. Czula, że jest samotny. Jej także brakowało bliskości, ale bycie w związku przerażało ją, wymagało zbyt wielkiego wysiłku. Była za stara i za bardzo zmęczona, żeby brać na siebie takie obciążenie.

— Muszę się przespać — powiedziała Madrone. — Byłam na nogach całą noc.

— Dobranoc, Sam — powiedziała zdecydowanie Maya i wzięła Madrone pod rękę. — Miło było cię spotkać. *Que nunca tengas* i tak dalej.

— *Kay noonka* — powiedział Sam. — Kolorowych snów, Madrone.

Duchy krążyły w ciemnościach jak ptaki i jak wspomnienia. Mgła otuliła miasto srebrnym welonem. Dwie kobiety schodziły powoli w dół, prowadzone przez światło księżyca.